

Hanna Łukowska Karniej

część I z III

Sygnatura notacji: **N0277**

Data urodzenia: **07.08.1941 r.**

Data nagrania: **27.06 2023 r.**

Miejsce nagrania: **IPN, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 62 min, część II: 63 min, część III: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hanna Łukowska-Karniej: Urodziłam się na Syberii w 1941 roku, 7 sierpnia, to jest Ałtajski Kraj – Nowa Borowlanka, tak mam wpisane – to jest przy granicy mongolsko-chińskiej. Moi rodzice znaleźli się – właściwie ojciec – na liście deportacyjnej, i moja babcia, właśnie w czerwcu 1941 roku z okolic Kowna. Wtedy to był teren Litwy. W zasadzie mojej mamy, która była w ciąży ze mną, nie było na liście, ale ojcu udało się wyjść tyłem przez ogród i nie być deportowanym. I babcia sama – matka mojego ojca – nie nadawała się w ogóle do wyjazdu i moja mama podjęła decyzję, mimo że była jej tam córka i była reszta rodziny, że pojedzie ze swoją teściową. Później ojciec nie wiedział o tym, że mama tak zadecydowała, ale wszyscy pocieszali, że Zofia da sobie radę, na pewno dziecko wróci, z nią razem wróci, a przynajmniej jego matka będzie miała dobrą opiekę, bo moja mama była bardzo energiczna i zdecydowana w swoich, że tak powiem, w ogóle i poglądach i decyzjach. Mój ojciec nazywał się Marian Kozakowski. Babcia: Felicja Kozakowska, była z domu Białozor. Pochodzili właściwie z bardzo znamienitego rodu i posiadali kilka majątków, tak że właściwie przed wojną dom był dostatni. A w zasadzie czując, że wojna się zbliża, ojciec przeniósł się do miasta, bojąc się, że te majątki zostaną zmiecione. Ale w tych ostatnich latach właściwie, jak ludzie byli na tych listach sowieckich, w zasadzie nie nocowali we własnym domu – tak mi opowiadano – zamieniali się miejscami. Ale w tym dniu akurat, ponieważ zjechała się większa ilość osób z rodziny, byli w domu, no i niestety samochód stanął pod domem i mama ze mną w ciąży i z babcią zostały deportowane. Ojciec, jak mówię, uniknął tej deportacji, ponieważ wyszedł tylnymi drzwiami. Ciocia go wyprowadziła, wiedząc, że na pewno po niego przychodzą. Na drugi dzień dowiedział się i chciał do nas dołączyć, bo jeszcze ponoć pociąg stał jeszcze na torach, a w dodatku wkraczali wtedy już Niemcy na Litwę. Nawet mama mówiła, że myśleli, że wtedy nie będzie kontynuowana ta deportacja. Niestety wywieźli nas. U moich przodków właśnie ojca, w zasadzie i babcia, i dziadek, jedna jest prawnuczką i praprawnukiem generała

Wawrzyckiego, zastępcy w powstaniu kościuszkowskim generała, który tam później pełnił dość wysoką funkcję. Tak że ta rodzina miała jakieś, że tak powiem, korzenie niepodległościowe i w zasadzie, o dziwo, ten majątek mojego ojca po 1963 roku, po powstaniu styczniowym, nie został, że tak powiem, odebrany, ponieważ mój dziadek, wiem, że wspomagał rząd tymczasowy, jeździł do Warszawy, przywoził pieniądze. W każdym razie w rodzinie wiadomo, że pomagano powstaniu styczniowemu. Babcia została sama. Dziadek gdzieś zniknął i ona, ta babcia właśnie, babcia mojego ojca sama prowadziła ten majątek, który był upadły przed wojną. Tak że w zasadzie w 1863 roku pozostał przy rodzinie. Z kolei moja mama pochodziła z rodziny takiej uboższej, jak bym powiedziała, tej szlachty, i ojciec mojej mamy był nadleśniczym w dobrach hrabiego Tyszkiewicza, ale to była dosyć wysoka funkcja. Pamiętam, że mama zawsze mówiła, że jej dzieciństwo upłynęło w Dubinkach, właśnie w dobrach tego hrabiego. Pamiętała do późnej starości, bo zmarła, mając 100 lat. Wróciliśmy z tej Syberii, na szczęście, to nawet pamiętała nazwiska leśniczych i rzeczywiście świetnie potrafiła i chciała opowiadać o tym zesłaniu, gdzie większości rodzin w domu o tym nie mówiono. Nazwisko mojej mamy Łukowska.

Artur Kłus: Jak to się stało, że ja mam to nazwisko po mamie, a nie po ojcu?

Hanna Łukowska-Karniej: Ponieważ wracając z tej Syberii, z tego Ałtańskiego Kraju, to była – ja już w tej chwili teraz nie pamiętam, Trojecki Rejon, tak się mówiło – mama wracała z córką Hanną, bo taki tylko dokument miałyśmy, córka Hanna, tak mnie babcia nazwała, babcia tam zmarła. Mój ojciec i moja ciocia, siostra mamy, starała się o to, żeby je ściągnąć do kraju po wojnie, w 1946 roku, zaraz po wojnie. Pamiętam, że moja mama skorzystała z lewych papierów pani Olszewskiej. I w rezultacie, ponieważ ta pani Olszewska, jak mi potem mówiono, już miała załatwiony powrót do kraju, ale udała się do Armii Andersa ze swoim dzieckiem i te papiery mama wzięła, żeby przyspieszyć swój wyjazd. Mama podała, że z domu jest Olszewska, a po mężu Łukowska, bojąc się nazwiska oczywiście „Kozakowska”. No i tak zostało. I mój ojciec zawsze mówił, że jak się za czasów komuny postawiło gdzieś kropkę, to tę kropkę trzeba dalej postawić. Starali się później zmienić mi nazwisko, szczególnie wtedy, kiedy ja już szłam na studia, bo uważali, że nadszedł dobry czas. Ale ja byłam zbuntowanym młodym człowiekiem i powiedziałam, że „Łukowska” jest tak samo dobra jak „Kozakowska” i nie chciałam powrócić do tego nazwiska. Tym bardziej, że po wojnie nie przedstawiano mi od początku mojego ojca. Ojciec figurował, jak odnaleźliśmy się w 1946 roku po powrocie, jako kuzyn, a potem powiedziano mi, że to mój wujek. I ja przez kilka lat, nie wiedząc o tym, że to jest mój ojciec, nie umiałam tego zaakceptować. To jest jakiś taki syndrom u dzieci, że jak czegoś od początku nie wiedzą, to potem się trochę buntują. Wielki wpływ na moje wychowanie i w zasadzie to nazwisko Łukowska przylgnęło. Chciałam je później zmieniać, żeby był porządek w papierach, ale w każdym razie... Ojciec napisał piękny pamiętnik, z którym znam rodowód jednej rodziny, drugiej rodziny i posłużył mi jako przewodnik, kiedy pojechałam w latach 90. dopiero na Litwę i z tym pamiętnikiem ojca objechałam wszystkie miejsca i wszystkie majątki ojca i kościoły, które nawet budowali Wawrzeccy, to były: Ławeny, Nurkany, Szotków, ciekawe miejscowości, które naprawdę wzbudzały we mnie takie nastroje z dreszczykiem, bo tutaj chodził ojciec. Tam już oczywiście nie wszędzie jeszcze były te miejsca. Najważniejszy nasz majątek Ławeny, nad rzeką Ławeną, w kierunku Rygi, przy drodze takiej głównej się mieści, naprzeciwko jest miejscowość Pompiany, to jest większa miejscowość. W tych Ławenach mieści się teraz dom opieki. Nawet tam spędziłam noc, w tym domu opieki, mając ze sobą plany tego naszego majątku i pokazywałam to młodym ludziom, którzy się opiekują teraz tymi ludźmi. To ich bardzo wzruszyło, bo oglądali coś, co było jakąś taką historią. No, ale dalszego ciągu nie było,

bo nawet myślałam, żeby tam jakąś historię umieścić na ścianach. Ten dom jest na nowo odbudowany.

Artur Kłus: Ale ojciec z panią mieszkał?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, ojciec ze mną mieszkał. Po tym naszym, że tak powiem, powrocie, bo część właśnie osób wróciła oczywiście z tego zesłania, ale to ci wrócili, którzy mieli obywatelstwo polskie i ci, których rodzina się starała o powrót, a ponieważ starania robiła siostra mojej mamy, właśnie Jadwiga Łukowska, to jakoś to się udało i nam się udało wrócić w 1946 roku. Przyjechaliśmy, pamiętam ten powrót. Te wagony bydłące, te półki, te postoje, gdzie ludzie rosyjscy podbiegali coś nam tam podawali, jakiś kipitok i tam, już nie pamiętam, wiem, że tylko ten lęk wieczny u mnie był, żeby mama gdzieś nie znikła. Nie wiem dlaczego. Rzeczywiście matka chorowała, a chorych ludzi zostawiali po drodze, ale ludzie z tego wagonu jakoś nie wydali mamy, że jest chora, mama przechorowała, a mnie dano nawet taką kartkę z nazwiskiem ojca i rodziny, w razie czego gdybym została sama. Mama mówiła, że mną się opiekował niejaki pan Onyszkiewicz, który tam również spędzał tę swoją deportację. Tylko nie pamiętam, czy w tym samym posiołku, czy w innym, to tego już nie wiem. Natomiast tę drogę pamiętam. A sam pobyt na tej Syberii, no to myśmy byli w Tajdze. Mama tam piłowała drzewo w lesie. Początkowo, zanim mnie urodziła, to zajmowała się jakąś kuchnią. Mówiła, że coś tam gotowała, nie wiem dla kogo. I wszyscy ci zesłańcy mieszkali w ziemiankach. Myśmy akurat mieszkali u babki Zielonkowej, która miała syna w Armii Czerwonej i opowiadała po nocach mojej mamie, że była Ukrainką, też deportowaną wcześniej jeszcze z Ukrainy. Oni mienili się wtedy kułakami, dali im tam, nie pamiętam już jakie to były czasy, tego oczywiście jakoś nie bardzo dociekałam, ale w każdym razie mogli tam ziemi wziąć, ile chcą, ale później jak już zmieniał się ustrój, no to byli jak gdyby takimi zesłańcami cały czas. Natomiast polepszyła ich się dola, kiedy jej syn wstąpił do Armii Czerwonej i mówiła wtedy, że ma jakiś tam deputat i coś tam dostaje. Więc tę jedną rodzinę pamiętam. A resztę, to pamiętam ziemianki, do których tam chodziłam, jakieś miałam tam poparzenia ręki, to pamiętam, te ziemianki, w tym domu. Jak padał śnieg, to oczywiście były zasypane całe okna, jak wychodziłam, to dla dziecka to były tunele, po których chodziłam, mrozy tam oczywiście były 30–40 stopniowe, tak jak mama opowiadała. Jakoś w każdym razie przeżyłam to. Jak wróciłam do Polski, to właściwie zmianę klimatu bardzo przechorowałam, byłam bardzo chorowitym dzieckiem, umierałam tam parę razy, a ponieważ byłam dzieckiem bardzo już starszych rodziców, bo czterdziestoletnich, to w zasadzie trzęsiono się nade mną i byłam jedynaczką. Szukałyśmy z mamą właśnie rodziny. Odszukałyśmy najpierw majątek brata, który był mojego ojca, który mieszkał w Polsce przed wojną. Odnaleźliśmy go, odnaleźliśmy też siostrę ojca, która miała adres. No i okazało się, że są w Szczecinie. Ale pierwszy nasz transport był we Wrocławiu. Tak że Wrocław, do którego pojechałam na studia, był pierwszym miejscem w PUR-ze, to był Urząd Repatriacyjny, w którym właśnie tutaj się zatrzymaliśmy i tutaj szukała mama rodziny, stąd pamiętam. Nawet jakiś tam domek pamiętam w Leśnicy gdzieś, siedziałam i to musiał być czerwiec, bo oglądałam świętojańskie robaczki, ściana lasu była, no tylko takie fragmenty pamiętam. No oczywiście w czasie tej podróży pamiętam jakiś pogrzeb siostry zakonnej, gdzieś tam ktoś się utopił na Bugu, no i ten nasz postój we Wrocławiu. Stąd z mamą, szukając rodziny, dostałyśmy się do Szczecina. Zamieszkałyśmy w mieszkaniu oczywiście poniemieckim. W tym mieszkaniu zastałam ojca, który mi został przedstawiony jako daleki kuzyn, i ciocię, siostrę mojej mamy, i pana Jana Paszkiewicza, który był ich znajomym z Litwy. Oni się spotkali na ulicy. Ten pan Jan akurat taksówką woził ojca do Kowna i rozpoznali się na drodze. Ojciec bardzo się bał, zresztą jak wszyscy ludzie bali się jakichkolwiek znajomych z czasów przedwojennych, bo wydawało się im, że nie wiadomo, czy nie powiedzą coś za

dużo. I to najlepszym przykładem jest mój ojciec chrzestny, który do końca pozostał też przy nazwisku, bo uciekł z transportu prawdopodobnie do Katynia. Udało mu się uciec, tak w domu mówiono, ale nie wiem jak to było i został przy swoim nazwisku Ciemnołoński. Mieszkał koło Sławna, w Kołczygłowach mieli aptekę i proszę sobie wyobrazić, że w 1980 roku, po 1980 roku, jak pojechałam tam z dziećmi do niego, to kiedy jego nie zostałam i zaczęłam ich szukać, tego mojego ojca chrzestnego, i rozmawiałam z jego bardzo zaprzyjaźnionymi ludźmi, to pierwsze jego pytanie: czy ja mówiłam, skąd my się znamy i czy mówiłam o korzeniach z Litwy? Potem zrozumiałam, że on nie chciał, nie utrzymywał kontaktów ze swoim bratem. Miał prawdopodobnie nazwisko Niemyski. Mówiło się, że to hrabia Niemyski. Nie wiem. Tyle ja słyszałam w domu. Roczniki moje, właściwie ten ,41 rocznik, może i późniejsze, to w zasadzie nasze dzieciństwo wyglądało w ten sposób, że co innego było w szkole, a co innego w domu. Co w szkole – można było powiedzieć w domu, co w domu – nie wolno było powiedzieć. Nikt z nas nigdy nie pytał, dlaczego Marta nie ma ojca – bo wiadomo: musiał zginąć na wojnie – dlaczego nie ma jakiejś rodziny, albo np. Krysia Fock, która potem z ojcem wyjechała do Niemiec przy pierwszej okazji i rodzina się podzieliła, to nikt nie pytał, dlaczego nie wróciła, co to było. Było wiadomo, że to są sprawy domu i nawet nas nie wypytywali nauczyciele o te sprawy. Ja oczywiście o Syberii mówiłam, jak mnie pytano, gdzie się urodziłam. Nawet pierwszy mój dowód to wypisałam Syberia i Nowoborowlanka. Skreślono mi to oczywiście, Syberii żadnej nie ma. Bardzo się zdziwiłam. Pamiętam, że z panem rozmawiałam na ten temat, to był pewnie ze Służby Bezpieczeństwa, bo oni wydawali: dlaczego, przecież to jest Syberia, ja się nie urodziłam gdzie indziej? On: ZSRR. No dobrze, tak to było. Moja mama – jeszcze wróć – kazała jej się zrzec obywatelstwa polskiego. Ale mama na szczęście tam będąc na Syberii, nie zrzekła się. Mama mówiła, że właśnie straszono ją, że chyba ją zabiją, bo mama przedała kwestionariusz, na którym kazano jej się zrzec. Ale dzięki temu, że była obywatelką polską, to mogła przyjechać do Polski, a nie do miejsca, z którego była wywieziona. Bo taka była reguła: wywiezieni z Litwy – wracają na Litwę, wywiezieni z Ukrainy, ze Lwowa, jeżeli mu się udało, to wraca na Ukrainę czy Białoruś. Bo tego właściwie młodzież chyba pełnie nie wie. Jak wyglądało to moje dzieciństwo w Szczecinie? Więc wiadomo, z tajgi do miasta i do centrum miasta i zamknięta w czterech ścianach. Bardzo chorowałam, ale jakoś przeżyłam. Na moje właściwie wychowanie wpłynęła moja siostra cioteczna. To była córka oficera Korpusu Ochrony Pogranicza, to był brat mojej mamy, Mieczysław Łukowski, który razem z rządem uciekał z terenów obecnej Ukrainy, a wtedy dostawali się i uciekali razem do Rumunii. To była miejscowość... Zabrało mi w tej chwili pamięci, ale nieważne. W każdym razie dzięki temu dostał się do Oflagu i przesiedział całą wojnę w Oflagu. Bo Rumuni wojskowych wydali, a rząd... W każdym razie dostał się na emigrację. I tenże właśnie Mieczysław Łukowski prosił moją mamę i ciocię, siostrę, żeby jego córkę sprowadzić z Warszawy. Ona przeżyła powstanie warszawskie w Warszawie. Ona była w domu opieki u sióstr zakonnych, była osobą niepełnosprawną, garbuską, źle słyszącą, po gruźlicy kości. I tam ją umieszczono. Macocha, która znalazła się w Warszawie, umieściła ją właśnie u sióstr zakonnych. No i myśmy ją stamtąd zabrali. Ona była oczywiście kilkanaście lat starsza ode mnie i miała największy wpływ na moje wychowanie i na ukształtowanie mojego, że tak powiem, umysłu, ponieważ opowiadała pięknie o Polsce Niepodległej, pamiętała wiersze, piękne wiersze jeszcze z dzieciństwa. I te wiersze z pamięci spisywała w takiej złotej księdze, w takim ogromnym sztambuchu. Ja na tych wierszach się wychowałam. Oczywiście to były wiersze i Konopnickiej, i wiersze Mickiewicza i Słowackiego, i ona to wszystko z pamięci, bo Szczecin wtedy nie miał bibliotek w tamtym czasie w ogóle. Ja tylko oglądałam obrazki w niemieckich książkach. Tak to wyglądało. I te wiersze bardzo mnie ukształtowały, a w dodatku do dzisiaj pamiętam wiersze: imieniny Rydza-Śmigłego, o księciu Poniatowskim, „króla Jana, co po łbach bił pogana, Przyszły posły i rozjemce: – Ratuj królu, biją Niemce” i całą historię się

uczyłam właściwie na tych wierszach, dzięki niej. Jeszcze pięknie malowała, więc to wszystko ozdabiała ładnymi, pięknymi rysunkami. Niestety najbardziej przeżyłam rozstanie z tą moją siostrą cioteczną, ponieważ po 1956 roku była możliwość, że ona wyjechała do Stanów, ponieważ właśnie tenże jej ojciec z Berlina już nie wrócił do Polski, wracali jego koledzy i pamiętam, że zatrzymywali się u nas w Szczecinie i mówili, że Mieczysław, który brał udział w wojnie 1920 roku, nigdy nie wróci, bo wie co to są bolszewicy i sowieci. Tak że wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W Berlinie spotkał swojego syna, który miał 16 lat, jak brał udział w powstaniu warszawskim i razem z nim wyemigrował. Ta właśnie moja siostra Bożenka pojechała do nich do Stanów. Ja byłam wtedy w dziewiątej klasie i bardzo to przeżyłam. To rozstanie. Jak wyglądało moje dzieciństwo? To wiadomo, że to były czasy stalinizmu. W Szczecinie okazało się, że myśmy nie musieli, od początku w szkole podstawowej nie miałam języka rosyjskiego, tylko miałam język niemiecki. Właśnie to jest zaskoczenie. Dopiero w siódmej klasie przyszedł rosyjski. A w szóstej i w ogólnie już był rosyjski, ale na początku tylko nas uczyli niemieckiego. Zresztą później się dowiedziałam, że przecież losy Szczecina się ważyły bardzo długo, prawie do lat sześćdziesiątych. W tej szkole dzięki tej mojej siostrze wydawałam gazetkę ścienną, nawet ona nam organizowała wspaniałe zabawy, wydawałam nawet gazetkę „Pajęczek”, która była gazetką nie szkolną, ale podwórkową, bawiliśmy się w teatr. Ta moja siostra chodziła na filmy amerykańskie i opowiadała mi te filmy i rysowała, tak że byłam na bieżąco. No i dzięki temu czyniliśmy przedstawienia, nawet przyznam się szczerze, że w klasie siódmej – bo myśmy siedem klas miały – to dzięki jej zainteresowaniom znałam czasy Zatopka, biegacza słynnego w olimpiadach, interesowałam się olimpiadami, robiłam takie albumy i dzięki temu byłam dobrym rozmówcą dla naszych kolegów. Pamiętam nawet, że byli zdumieni – nie pamiętam, który to był rok – kiedy wygrali Węgrzy z Niemcami, to ja znałam całą drużynę niemiecką, bo moja siostra wyznaczała wszystkim moim koleżankom każdą drużynę. Ta Niemka, która potem wyjechała do Niemiec, – ona była Polką, ale z rodziny jak gdyby trochę mieszanej – to ona patronowała tym Węgrom, a ja – Niemcom. No i oczywiście do dzisiaj pamiętam: Turek, Posipal, Kólmeyer, Eckel, Liebrich, Mayer, Ranmorloch, O. Walter, Fritz Walter. Wszyscy byli zdumieni, no ale moim kolegom zawsze bardzo imponowałam, bo znałam się po prostu na sporcie. Może tak zakończyć.

Artur Kłus: Jak wybrała pani studia we Wrocławiu?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, wybrałam studia we Wrocławiu. Chodziłam do liceum „Jedynka”, takie dobre liceum w Szczecinie, jeszcze wtedy ono nie było koedukacyjne. I po maturze wybrałam Wrocław. Tak trochę przez przypadek, dzięki mojej przyjaciółce, która wybrała Wrocław, a ja wybrałam studia i skończyłam studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym, kierunek historia. I tak zaczęła się moja droga we Wrocławiu. Dwa lata po studiach wyszłam za mąż. 1968 rok, to nie był dla mnie taką datą, w której ja bym działała, bo ja wtedy spodziewałam się mojej najstarszej córki i pracowałam już na Politechnice Wrocławskiej. Pracowałam na Politechnice Wrocławskiej dzięki moim przyjaciółkom, które skończyły matematykę, bo z nimi mieszkaliśmy na stacji. One mnie właściwie ściągnęły do Instytutu najpierw Ekonomii i Organizacji, a potem dopiero zaczęłam pracować w Instytucie Matematyki i Fizyki Teoretycznej. 1968 rok pamiętam już jako pracownik Politechniki Wrocławskiej. Kibicowałam oczywiście studentom, znałam tych studentów, ale sama udziału nie brałam. Natomiast kiedy już od 1970 roku zaczęłam pracować w Instytucie Matematyki, w bibliotece, bo w tym Instytucie Organizacji, to ja, historyk, obsługiwałam maszynę Odrę jako operatorka. Tak mnie koleżanki wyszkoliły. Ale to była taka trochę zabawa bardziej niż jakieś prawdziwe działanie. One pisały programy, a ja pracowałam w Instytucie Pana Profesora Pilarskiego. A w Instytucie Matematyki, kiedy się

przeniosłam, to już pracowałam w bibliotece, tam poznałam bardzo ciekawych ludzi. Właśnie Instytut Matematyki i Fizyki Teoretycznej to taką był kuźnią już też tych poglądów moich i wiedzy na temat, bo tam się zetknęłam po raz pierwszy z podziemną prasą drugiego obiegu. Tą prasą się trochę zainteresowałam, a właściwie tę pierwszą książkę, którą przeczytałam, to była „Droga donikąd” Mackiewicza. Tę książkę zauważył jeden z kolegów pracujących, zapytał mnie, czy chciałabym więcej takich książek. Nie był to pan Kornel Morawiecki wtedy, tylko taki Zbigniew Piotrowski i powiedział, że ma dojście do tych wydawnictw. No i zaczął mi je dostarczać. I ja zaczęłam prowadzić bibliotekę takich wydawnictw, bo biblioteka matematyczna nie miała żadnych książek oprócz książek matematycznych. A nie było nawet żadnej prasy, a często asystenci jak mieli kolokwia, to się nudzili, przychodzili, czy nie mamy coś do poczytania, no i dawałam im. No i dzięki temu właściwie zauważyli, jakie ja mam, że tak powiem, zamiłowania i co mnie można pożyczyć. 1979 rok... – Biblioteka prasy podziemnej. – Tak, tak, tak. To jeszcze nie wiedziałam, że w naszym instytucie jest właściwie i wydawca, i redaktor „Biuletynu Dolnośląskiego”. „Biuletyn Dolnośląski” dostawałam właśnie od tego pana Zbigniewa Piotrowskiego, to on pierwszy mi to biuletyn przyniósł. A potem w zasadzie Kornel Morawiecki, który był jednym z pracowników Instytutu, zapytał mnie, czy może zostawiać u mnie paczki, po które będą przychodzić studenci. Stałam się od 1979 roku kolporterem Biuletynu Dolnośląskiego, nie wiedząc, że on jest redaktorem. Rok 1980 powstaje „Solidarność”. Ja nie bardzo jestem zachwycona ruchem związkowym. Zaczynam mówić, że mnie interesuje niepodległość, a nie żaden ruch związkowy. Mimo, że mam trójkę dzieci, powinnam od razu się zainteresować, bo ledwo wiązałam koniec z końcem. Pamiętam, jak z Kornelem nawiązałam bliższą znajomość, dostawałam od niego już inne pozycje, i pamiętam jak przyszedł do mnie i pytał, czy wiem, kto może pożyczyć samochód, bo on chce prasę przywieźć z Warszawy. I w tym samym dniu przyszedł też ten Zbyszek i też pyta się mnie, czy ja mam samochód jakiś wśród znajomych, bo też chce przywieźć prasę. Nie wiem, czy to była ta sama, ale w każdym razie z takimi rzeczami się do mnie zwracano, więc widocznie mieli do mnie zaufanie. Pani docent Łopuszańska, przewodnicząca późniejszej „Solidarności” w Instytucie Matematyki, pani profesor, bardzo szacowna pani i poważana przez wszystkich jako naukowiec zwróciła się do mnie, czy bym mogła być w Komitecie Założycielskim „Solidarności” i zostałam w tym Komitecie Założycielskim, ponieważ siedziałam w tej bibliotece i zbierałam ludzi. Potem oczywiście nie działałam w „Solidarności”, bo proponowano mi, powiedziałam, że mam trójkę dzieci, więc nie mogę, ale pomogę zawsze. A Kornel mi zwrócił uwagę: że jeżeli ja chcę się zapisać do KPN-u, to, że zapisuję się do organizacji, w której połowa będzie Służby Bezpieczeństwa, bo jawna organizacja w tym systemie nie ma praw bytu i lepiej się zapisz do Solidarności. I tak mnie przekonywał. Oczywiście byłam w tej „Solidarności”, prowadziłam bibliotekę „Solidarności”, którą potem musiałam szybko rozdać, kiedy wybuchł stan wojenny. No ale ta znajomość już z Kornelem Morawieckim, doktorem fizyki, który wykładał matematykę, bo potem Instytut Fizyki odłączono od nas, bo to był Wydział Podstawowe Problemy Techniki na Politechnice, Instytut tzw. Matematyki, wykładał matematykę Kornel. W czasach „Solidarności” bardzo dużo słyszałam tych wspólnych rozmów. Kornel od początku zadawał nam pytanie, co zrobimy, jak będzie stan wyjątkowy? Wszyscy go obchodzili kołem. Co on gada o tym stanie wyjątkowym bez przerwy? Pamiętam na imieninach mojej przyjaciółki, która ze mną pracowała w bibliotece, w Instytucie Matematyki, to było Krystyny, w marcu, zadawał znowuż to pytanie, w marcu: „co zrobimy jak będzie stan wojenny?”

Artur Kłus: To było po tych wydarzeniach w Bydgoszczy?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, w okolicy też Bydgoszczy. 13 marca są imieniny, a Bydgoszcz, nie pamiętam

kiedy było, ale w każdym razie to się nakładało. On cały czas czuł, że to jest sprawa jakaś taka chwiejna i męczył nas wszystkich. No to mówiliśmy: a będziemy zrywać spis lokatorów, a będziemy zmieniać nazwy ulic, no i kierunkowskazy, znaczy, drogowskazy będziemy też przestawiać. Takie były rozmowy, się toczyły, ale wszyscy uważali, że to można między bajki włożyć. Nikt się tego nie spodziewał. No tu w międzyczasie Kornel zapytał mnie, czy u mnie w domu można zrobić takie spotkanie, bo jest tutaj kolega z Białorusi, a on tu przeprowadzi ludzi, którzy działają w oporze. I wtedy u mnie w domu zjawili się bardzo dużo osób, których kompletnie nie znałam. Znałam tylko Kornela i Jasia Waszkiewicza, który ze mną pracował również w Instytucie Matematyki, który również był redaktorem „Biuletynu Dolnośląskiego”. I wtedy tam przysłuchiwałam się rozmowom właściwie tych działaczy opozycyjnych. Zresztą w naszym instytucie było potem okazało się ich więcej.

Artur Kłus: To było przed stanem wojennym?

Hanna Łukowska-Karniej: To było przed stanem wojennym. Kornel wydrukował w „Biuletynie Dolnośląskim” i również ulotki do żołnierzy sowieckich, dzięki właśnie znajomości z panem Iwanowem Mikołajem, którego właśnie poznałam, kiedy on go do mnie przyprowadził na to spotkanie, odezwy związków zawodowych socjalistycznych z Mińska czy z Moskwy – ja już nie pamiętam, chyba było to z Moskwy – on to „poślanie”, to się nazywało „poślanie”, tak nazwał Mikołaj z Kornelem „poślanie do zjazdu”, przywiózł w głowie, wcześniej pytając Kornela, czy taki list przywieźć od tych opozycjonistów wtedy. Oni w zasadzie tam w bardzo małych grupach działali. On tam pamiętam, siedział też w więzieniu, był zatrzymany, jego kolegów też niektórych zatrzymali, niektórzy mieli dłuższe wyroki. W każdym razie wiadomo, jak to tam wyglądała ta opozycja, że oni sami drukowali, sami czytali i mało kto to tam po nocy czytał. Ale w każdym razie Mikołaj Iwanow, którego Kornel poznał poprzez swoją żonę Polkę. Bo jej rodzice czytali „Biuletyn Dolnośląski”, Beaty, żony pierwszej Iwanowa, przepisywali tę ulotkę u mnie w instytucie, bo ja miałam w instytucie swoim, w bibliotece, maszynę z czcionką rosyjską. I tam przepisywali ją po rosyjsku, a potem po polsku tłumaczenie. I Kornel między turami zjazdu, bo był delegatem na zjazd, był aresztowany w związku z tą ulotką do żołnierzy sowieckich. W każdym razie moja taka działalność, tylko towarzyszyłam wtedy, czytając prasę podziemną. No a tutaj przychodzi rok stanu wojennego, grudzień 1981, gdzie Kornel mając proces polityczny, umawia się u mnie w domu z moją przyjaciółką, sędzią Niną Niechajowicz, żeby porozmawiać na temat swojego procesu i ta noc w zasadzie decyduje o dalszych losach, bo Kornela nie aresztowano w domu, jak po niego przyszli, bo on rozwoził biuletyn, a do mnie się zjawił, ja już nie pamiętam, na pewno koło pierwszej już, pani Nina, sędzina poszła spać, spała u mnie, bo ona mieszkała w Wałbrzychu, a sąd był chyba w Świdnicy, no więc zdecydowała, że ten mój kolega nie przyjdzie pewnie. No ale on przyszedł gdzieś po pierwszej w nocy i gadali do drugiej czy w pół do trzeciej na temat tego jego procesu. Potem samochód nie zapalił i tak Kornel się uratował dzięki temu, że wtedy był umówiony z tą sędzią. A rano, o godzinie piątej było jakieś tam walenie do drzwi. Zdziwiłam się, że ktoś stuka do drzwi. Oczywiście nie wiedziałam, że nie działają dzwonki żadne. Przyszedł nasz kolega z Instytutu, Edmund Gliński i szeptem mi powiedział, bo on wychodził na spacer o piątej z psem czy sam, to już nie pamiętam, w każdym razie: „Haniu, musisz zawiadomić pana Kornela Morawieckiego, bo ty go dobrze znasz, bo jest stan wojenny i jego na pewno będą aresztować”. Oczywiście nie powiedziałam mu, że tu nocuje, podziękowałam, zbudziłam Kornela i mówię: „stan wojenny jest”. Nie zdążyliśmy jeszcze włączyć telewizora i obudzić naszej koleżanki, jak było znowu walenie do drzwi i przyjechała żona z panem Lazarowiczem, z ojcem Romka Lazarowicza, z panem Zbigniewem

i chyba z żoną Romka, poszukując Kornela. No i jego żona zdenerwowana, ale Kornel spokojnie mówi: „To dobrze, że nie byłem w domu, to dobrze, że ten samochód mnie nie zapalił, przynajmniej się uratowałem”. I natychmiast rozdał nam po prostu zadania do wykonania. Do mnie mówi i do żony jego: „Ty pojedziesz z Jadzią do Instytutu Matematyki, zabierzesz tę maszynę rosyjską, wyniesiesz ją z Instytutu – w ogóle nie zastanawialiśmy się nad tym, czy to jest właściwe, czy niewłaściwe, oczywiście, stan wojenny, trzeba zabrać – i pójdziesz na Politechnikę, dowiesz się co się dzieje i zasięgniesz języka i pojedziesz do Zaracha”. Andrzej Zarach, pracownik naszego Instytutu, który był też delegatem na zjazd „Solidarności” a był we władzach „Solidarności”. Ja to wszystko zrobiłam, aż wieczorem dopiero wróciłam do domu, a w domu pełno ludzi kotłowało się, bo moje dziecko najstarsze też było wysyłane razem z panią sędzią do różnych ludzi, jeszcze w międzyczasie z panią Jadzią pojechałam do państwa Oziwiczów, podałam adres, gdzie się mają stawić i mój dom stał się centrum dowodzenia w pierwszym dniu stanu wojennego. Ja jeszcze sobie nie zdawałam sprawy z tego, co się dzieje, bo pamiętam, że nawet się nie bałam. Dopiero po nocy, jak zobaczyłam tych zomowców i ten zakaz wychodzenia i ta maszyna Kornela, która tak stuknęła głośno na dziesiątym piętrze, że umierałam ze strachu, że na dole ktoś usłyszy.

Artur Kłus: Jaki był adres mieszkania?

Hanna Łukowska-Karniej: Kamienna 4 m. 98. Znał to wszyscy, do dzisiaj wszyscy to znają. Kamienna 4 m. 98. I dobrze, że taki był adres, a nie 98 m. 4, bo ktoś tak kiedyś zapisał sobie i poszła służba pod 98, a nie pod 4, bo to tak nie wyglądało. Na dziesiątym piętrze mieszkam. Oczywiście wszyscy zadecydowali już tego samego dnia, że Kornel nie może tu nocować, że musi gdzie indziej nocować. No to co ja robię? Idę do sąsiadów najbliższych, pytam ich. Jedni mi odmówili, no ale państwo Maciejewscy, którzy czytali „Biuletyn Dolnośląski”, z szóstego piętra nie odmówili i przyjęli Kornela na nocleg. No i Kornel w nocy tam spał, a w moim mieszkaniu dalej przyjmował ludzi. I w tym dniu, tam pamiętam, i Basia Labudowa była, no po prostu ja nie znałam tych ludzi. Ja szłam do pracy, a tam się kotłowało w tym domu. Po przyjściu do pracy rano, późniejszy nasz współpracownik i później ważna osoba w redakcji, pan Andrzej Kisielewicz, młody wtedy asystent, szalał i mówił: „Koniec, robimy tu strajk! Gdzie ten twój kolega? Zawiadam go, jedź!” Wszyscy uważali, że on jest jakimś prowokatorem, a on już chciał działać i wziął udział w strajku, ale nie w naszym instytucie, tylko w gmachu głównym. Mówi: „Gdzie ten Kornel? Wiesz coś o nim?” Ja mówię: „Nic nie wiem”. Stan wojenny, co ja będę mówiła z Kornelem żeśmy... Nawet najbliższemu mojemu przyjacielowi w instytucie, Janowi Pawłowskiemu, który później był szefem kontrwywiadu, dzielnie mu pomagałam w tym i potem patronował Radiu „Solidarność Walcząca” nie powiedziałam, że Kornel ukrywa się i ja wiem gdzie. Dopiero po dłuższych rozmowach z Kornelem doprowadziłam go, ale nie do mojego domu, tylko do domu, gdzie potem się ukrywał. Więc najpierw to był dom pani Maciejewskiej, potem mojego męża, bo mój mąż mieszkał naprzeciwko mojego bloku, bo też za komuny nie można było mieć dwóch mieszkań. Moja teściowa zostawiła mieszkanie, a mąż zamieszkał w tym mieszkaniu, żeby tego mieszkania nie stracić. No i w tym mieszkaniu Kornel jako w drugim mieszkaniu się ukrywał, u mojego męża, naprzeciwko, okna w okna. Potem w mieszkaniu naszego kolegi z Instytutu Matematyki, Izydora. To było jedyne mieszkanie właśnie w takim galeriowcu, gdzie mieszkał sam. Bo Kornel nigdy nie mieszkał sam, nigdy. Mnie się udało po śmierci Kornela zrobić spis mieszkań. Może nie wszystkie mają dokładne adresy, albo pamiętam ulicę, albo pamiętam bramę, albo w przybliżeniu, albo nazwisko, albo imię, albo pseudonim. Więc tych mieszkań Kornel szacował, że będzie około sześćdziesięciu. Mnie się udało spisać osiemdziesiąt mieszkań. A około

sześćdziesięciu mieszkańców, z tego można dziesięć albo piętnaście odjąć, w których mieszkał, to były mieszkania na spotkanie. Więc przez te sześć lat ukrywania, Kornel mieszkał w osiemdziesięciu mieszkaniach. Mieszkaniem nazywam mieszkania, nie wszystkie były, że tak powiem, równoznaczne, bo do niektórych wracał i mieszkał po dwa tygodnie, trzy tygodnie, a w niektórych trzy dni, cztery, potem szedł do innego mieszkania, potem wracał i znowu nocował. Więc żadne mieszkanie Kornela jako mieszkanie nie wpadło. Tak że uważam to za nasz sukces. Od mieszkań byłam ja. Ale to tak się stało naturalnie bardzo. To nie było tak, że ja się zdecydowałam, bo ja za każdym razem uważałam, że trochę pomogę. Pierwsze mieszkanie załatwiłam, drugie, trzecie. No i później okazało się, że ludzie proszą, żeby już Kornel opuścił, bo jest niebezpiecznie, bo to czwarte, trzecie. Oczywiście pomagali mi ludzie, sama bym oczywiście tego nie załatwiła. Najpierw to były moje jakieś układy, a potem to już układy ludzi, których Kornel, że tak powiem, do siebie przywołał. I ta Solidarność Walcząca właściwie się opierała na ludziach z takiej elity, można powiedzieć, uniwersyteckiej i politechnicznej, bo to byli przyjaciele Kornela. On od pierwszego dnia nawiązał z nimi kontakty i około 12 osób założyło tak zwaną później Radę Solidarności Walczącej, ale zanim dojdziemy do Solidarności Walczącej, to była działalność związkowa, „Solidarność”. I ci wszyscy ludzie wchodzili i wychodzili. Ja chodziłam do pracy, do mojego mieszkania Kornel nakazał mi wezwać naszą koleżankę z Instytutu, Marysię Koziebrodzką, która była jego asystentką na Politechnice i ona przyjmowała ludzi w moim mieszkaniu, jak ja byłam w pracy. I ci ludzie przychodzili tam. To mieszkanie moje stało się... Właściwie, że potem tego nie sypnięto? No ale może dlatego potem miałam listy gończe. Oczywiście Służba Bezpieczeństwa, jak widziałam później nawet w materiałach, nie zdawała sobie sprawy, że tak powiem, z mojego udziału, działalności, raczej uważali pewnie, że się przyjaźnimy, mojej roli na pewno tutaj nie znali.

Artur Kłus: Pani mieszkanie było pierwszą podziemną siedzibą redakcji pisma „Z Dnia na Dzień” tak?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak można powiedzieć, z tym, że redakcja zaraz, redakcja „Z Dnia na Dzień” właściwie natychmiast w tym dniu, Kornel dał dyspozycję panu Romkowi Lazarowiczowi, który zresztą się zjawił, żeby go zawiadomić, z jego żoną, że jest stan wojenny, bo pewnie pani Jadzia pojechała do państwa Lazarowiczów, szukała męża po różnych miejscach, bojąc się, że został może internowany czy uwięziony. Nawet ktoś Kornelowi radził, bo następnego dnia czy za dwa dni miał być proces, a Kornel mówi: „No chyba zwariowaliście, ja pójdę na proces, żeby mnie zamknęli?” I zawsze dawało nam to do myślenia, kiedy krytykował Moczulskiego. Ja to doskonale pamiętam, że siedząc w więzieniu wyszedł na pogrzeb swojego ojca czy kogoś, że wrócił do więzienia. Ja mówię: „No taki honorowy”, a Kornel mówi: „No jak można wracać do więzienia, nawet jak się dało tam słowo honoru? Przecież to jest wojna, nie wraca się”. Tak to było oceniane. Więc Kornel oczywiście na ten proces nie poszedł. A redakcja „Z Dnia na Dzień”, właśnie Romek Lazarowicz wtedy, pamiętam, jego żona, potem tak zwane – Boże, jak się nazywała? – Krysia, tak stworzyły redakcję, ale one zaczęły się ukrywać, ja już nie uczestniczyłam w ich ukrywaniu. Najpierw na Krzykach, wiem, że było mieszkanie. Pośrednikiem między redakcją a Kornelem była Maria Koziebrodzka. Ona była jedną z pierwszych łączniczek. Ona pierwsza wiedziała, że Kornel był redaktorem w ogóle biuletynu. Ja jeszcze nie wiedziałam, jak Marysia Koziebrodzka, jego asystentka na Politechnice, wiedziała. Marysia była łącznikiem do Frasińskiego, łącznikiem do redakcji. Pierwszą miała łączność. Mój dom był sztabem, do którego Kornel przychodził. Potem to już ona siedziała i przyjmowała interesantów. No ale potem jak ludzie już mnie poznali,

oczywiście trwało to nie pamiętam ile, ona też nawet nie pamięta ile i jak długo w moim mieszkaniu miała te dyżury, ja byłam bardzo zadowolona, dzieci wracały ze szkoły, Marysia była, był ktoś dorosły, dziecko odbierane było malutkie z przedszkola, bo między najstarszą córką, a najmłodszą jest 9 lat różnicy, a między córką najstarszą i synem to jest rok i dwa miesiące, więc takie prawie bliźniaki.

Artur Kłus: W momencie wybuchu stanu wojennego pani dzieci w jakim są wieku?

Hanna Łukowska-Karniej: Moja najstarsza córka ma niecałe 14 lat, już ma 14 lat, bo w 1980 roku miała 13 lat, Wiga ma pięć, najmłodsza, i syn jest o rok i dwa miesiące młodszy. Tak że te dzieci wiedziały co się dzieje, rozumiały co się dzieje, od razu wiedziały, że nie wolno mówić tego co się w domu dzieje, od razu wiedziały, że Kornel się ukrywa, znały go bardzo dobrze, bo był zaprzyjaźniony z moją rodziną, bo wiecznie szukał tych skrytek dla biuletynu, ale to wszystko zadziało właśnie dzięki temu, że Kornel miał kolportaż biuletynu, miał schowany powielacz, tak że można było od razu jak gdyby przystąpić do druku, chociaż powstawały te drukarnie ramkowe. Wysłał mnie do ludzi, gdzie tam, do pana – Waszkiewicz, to Jaś, a tam ten Waśkiewicz pan, – taki malarz, który załatwiał nam ramki. Tak że poznałam bardzo dużo ludzi, bo mnie gdzieś wszędzie wysyłał i ja się wszędzie przedstawiałam początkowo, chodziłam, nie zdając sobie sprawy, czym mi to grozi. A w ogóle to uważałam, że jeszcze troszeczkę pomogę, troszeczkę pomogę, powięzę. Byłam jedynym łącznikiem z Politechniką. Potem jak już mogłam powiedzieć Jasiowi Pawłowskiemu, że ja wiem, że umiem dotrzeć do Kornela i przyprowadziłam pana Kisielewicz do Kornela, bo Kornel mówił: „Dawaj go, jak on taki pistolet i chce od razu robić strajk”. No to w tym trzecim mieszkaniu już się spotkał z Kornelem. Zaproponował właśnie, że będzie materiały redakcyjne przygotowywał razem ze swoją żoną, późniejszą żoną, bo wtedy jego dziewczyna była w Gołdapi właśnie. Tak że on jak gdyby pierwsze kroki stawiał sam w „Solidarności Walczącej”. No i właściwie ci ludzie, przyjaciele Kornela, którzy skupili się wokół Kornela, tworzyli taki kokon. Oni nie przychodzili do Kornela do mieszkania sami w zasadzie, no bo jak mieszkanie im załatwiłam, no to oni musieli przeze mnie albo przez Marysię Koziębrodzką załatwiać spotkanie, ale najchętniej było widziane, że pisali listy. Nie wszyscy chcieli, myśmy decydowały, kto do Kornela dojdzie. W tym pierwszym okresie bardzo nam pomogła społeczność kościelna nasza, przy kościele Ojców Kapucynów, ojciec Adam Białek, który też dał mi kilka mieszkań w naszej okolicy. Później jak spisywałam te mieszkania, to kolejność tych mieszkań, właśnie pamiętałam, gdzie przeprowadzałam Kornela z jednego mieszkania do drugiego. Muszą wszyscy zrozumieć, że skoro ja załatwiałam mieszkanie, to zabranie Kornela z mieszkania znowu ja musiałam załatwiać. No i niby ta moja działalność chwilowa i prowizoryczna cały czas się przekształcała. Tu kogoś aresztowali, tu kogoś zamykali. No to trzeba było zatykać te dziury. Zaczynałam poznawać bardzo dużą ilość osób. No i w zasadzie ja weszłam w ten stan wojenny tak, ja wiem, jak w masło, nie wiedząc, że wreszcie dojdę do listu gończego. Bo tak to się wreszcie stało, a szczególnie jak już Marysię zamknęli. Marysia Koziębrodzka wpadła zupełnie przypadkiem, bo akurat jechała samochodem, jak ją milicja zatrzymała i zobaczyła u niej jakieś gazetki. A ona oczywiście też załatwiła w swojej rodzinie Kornelowi mieszkanie, właśnie dziewczyny tzw. „Wróbelki” na Wróblewskiego niedaleko ZOO. Potem były łączniczkami, ale też przychodziły do mnie, do mojego mieszkania po, że tak powiem, dyspozycje. Dla nich byłam ja ważna i ja im rozdawałam potem pracę. No bo po południu, nikt nie wiedział, że dopóki Marysia nie wpadła, to że do godziny tam 16.00 czy 17.00 ona jest, albo miała zajęcia, no to przychodzili o 19.00, 20.00 i 21.00, No to ja już mieszkalam i byłam tą osobą, która rozmawiała z każdym. Głowa mi puchła, w ogóle nie mogłam nadążyć z tymi wiadomościami,

bo to wiadomości: co w Fadromie, co w jakimś Kuprum, co gdzie indziej, co w WSK, co w Jelczu. Ja mówię: „Piszcie, piszcie”. I wszystko chowałam do kieszeni te informacje. Ja mówię: „Nie zapamiętam, proszę pisać”. No i zanosilałam Kornelowi. Kornel uważał, że pewne rzeczy są ważne i pisał jakieś materiały redakcyjne i przysyłał właśnie do redakcji. I pierwszym tym łącznikiem była Marysia Koziebrodzka. Tak że my dwie, żeśmy tak właściwie od początku były te pierwsze łączniczki, a potem tych łączniczek było więcej, ale to już potem one się stały moimi łączniczkami. Szczerze mówiąc, bez tych ludzi ta konspiracja by się nam nie udała. Kornel stwierdził, że ja mam wyczucie ludzi, wydawało mu się, że się znam na ludziach. Gdzie ja się tam znałam? Nic się nie znałam, ale wiara czyni cuda. Jak on nie ma czasu, ja mu chcę tam przedstawić coś, a on mówi: „Ty to lepiej zrobisz”. Myślałam jak myślałam. Ale taką moją może zaletą, którą później uświadomiłam sobie, a w zasadzie Kornel mi ją uświadomił, bo ja się z tą Służbą Bezpieczeństwa rzeczywiście trochę potem ganiałam, bo oni nie zdawali sobie sprawy, co ja robię, że mam dostęp do mieszkań, natomiast uważali, że mam łączność i kiedy mnie już zaczęli śledzić, kiedy już miałam te listy gończe, to ja zawsze myślałam o tym, co ja bym na ich miejscu zrobiła i to mi bardzo pomagało. Bo Jasio Pawłowski, który był moim kolegą w pracy, z którym właściwie od pierwszych dni stanu wojennego też konspirowałam, który był również człowiekiem, bo myśmy zaczęli w Związku Zawodowym „Solidarność”, i Jasio Pawłowski do końca został takim trochę też, mimo że był w Radzie „Solidarności Walczącej” później, po 1982 roku, to jednak postanowił, że kontrwywiad i wywiad będzie tylko jeden. Miał kontakt potem z panem profesorem Wiśniewskim i jemu to przekazywał, i miał kontakt pod późniejszym rektorem zresztą i naszym współpracownikiem bliskim. I właściwie wywiad i kontrwywiad to był jeden, a w tym kontrwywiadzie i wywiadzie zaczynałam właśnie z panem Pawłowskim, bo kiedyś Kornel był śledzony jeszcze przed stanem wojennym jako działacz „Solidarności” który wydawał biuletyn, bo już oni wiedzieli, bo tam ten biuletyn wpadł kiedyś i w dodatku w tym biuletynie były również te protesty dotyczące wojny afgańskiej Związku Sowieckiego. Zresztą to jest taka osobna historia, bo to w zasadzie Kornela działalność zaczęła się od tego, że pojechał do Warszawy namawiać tych wszystkich korowców, żeby zaprotestowali przeciwko wojnie afgańskiej i nikt go wtedy nie chciał słuchać. Przyjechał i rwał włosy z głowy. No i ja wtedy się właściwie zaczęłam zastanawiać nad tym, co zwykli ludzie mogą zrobić na ten temat, a on uważał, że właśnie ten Klub Samoobrony

Artur Kłus: Jak on się nazywał?

Hanna Łukowska-Karniej: KSS-KOR, Komitet Samoobrony Społecznej, tak to się nazywało, po prostu zajmuje się ludźmi, a nie zajmuje się stanowiskiem dotyczącym państwa, że może to nas wcześniej czy później czekać. Te rozmowy Kornela na ten temat były ciekawe i wszystkich nas, że tak powiem, mobilizowały do myślenia.